



Kryminał z myszką

1

**KŁOPOTY
ZE
SPADKIEM**

Antoni

Marczyński

Antoni Marczyński

KŁOPOTY ZE SPADKIEM

Kryminał z myszką – Tom 1

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-55-7

Copyright © Leopold René Nowak

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

Tekst: Iskry, Warszawa 1958

OSOBY WYSTĘPUJĄCE W TEJ POWIEŚCI

JAN BORZĘCKI – zdiwaczały profesor-wynalazca, tragicznie zmarły w tajemniczych okolicznościach.

KAZIMIERZ MARSKI – współpracownik profesora, stały mieszkaniec ponurej willi.

ELŻBIETA PRZYBYSZ – przyrodnia siostra profesora, uczynna samarytanka na zawołanie.

WITOLD PRZYBYSZ – jej syn, zazdrosny młodzieniec, którego impulsywność może zaimponować.

MAGDALENA DOLAŃSKA – druga przyrodnia siostra profesora, klasyczny okaz herod-baby.

TYTUS – jej krzykliwy i tchórzliwy syn.

WAWRZYNIEC – ditto plus wymokły dziubas, słabszy, choć starszy od swego brata.

LIDIA POPIELSKA – jej córka, podwójna rozwódka, notoryczny „wamp”.

LUDWIK BORZĘCKI – bratanek profesora, niewierny mąż, ofiara chciwości własnej i cudzej.

IRENA – jego żona, szlachetna dusza, nadobny obiekt kilku amatorów na raz.

JULIA DOSIEWICZ – kuzynka profesora, równie wymowna, co głupia.

WACŁAW – jej mąż, fajtłapowaty, ale też podejrzany.

MICHAŁ BORZĘCKI – hokeista, motocyklista, dowcipniś i niepowołany detektyw.

HUBER – kapitan MO, szczwany lis udający dobrodusznego naiwniaczka.

STEFAN SZCZEPANIK – dzierżawca ogrodu profesora, pechowy amant i niekiedy alkoholik.

ZOFIA – jego żona, tzw. pomoc domowa w willi profesora.

STANISŁAW PAJDA – głuchoniemy staruszek, przedwojenny służący profesora.

HENRYK PESZEL – pracownik biura notarialnego.

JÓZEF MOKRZYCKI – zagadkowy mściciel, który od razu trafia do kryminału.

NOTARIUSZ – postać epizodyczna.

„ULISSES” – czworonożny Sherlock Holmes.

Akcja powieści toczy się współcześnie w Komorowie pod Warszawą.

ROZDZIAŁ I

Za ścianą zaszeleściło coś podejrzanie.

– Ojej, co to?!

– Wiatr tak harcuje, proszę pani, na pewno wiatr.

Wiatr dął coraz silniej. Niekiedy jego maleńkie strzępy wdzierały się do pokoju jadalnego przez jakieś niewidoczne szpary w oknach i wtedy firanki chwiały się denerwująco.

– Wciąż mam wrażenie, że ktoś puka.

– To deszcz bębni w szyby.

Szyby aż drżały od gwałtownych podmuchów wiatru, ale swoją drogą coś gdzieś pukało najwyraźniej.

– Znowu! Słyszycie?

Ten i ów z obecnych skinął głową potwierdzająco, lecz Kazimierz Marski, pomocnik profesora Jana Borzęckiego, właściciela willi w Komorowie pod Warszawą, był innego zdania.

– Wiatr szarpie którąś okiennicą na parterze... Kto by tam pukał. Kto by w ogóle wychodził na taką słotę – westchnął tendencyjnie, bo miał dziś jeszcze jechać do Warszawy z błahym poleceniem profesora.

– Pojedzie pan jutro.

Marski podziękował profesorowi za to ustępstwo, poweselał od razu i z większym zapalem zaczął bawić rozmową jego dwie przyrodnie siostry, swoje najbliższe sąsiadki przy stole. Obie były wdówkami, obie przekroczyły pięćdziesiątkę, obie przywiozły tu dzisiaj swoją progeniturę: Elżbieta Przybyszowa dwudziestoosmioletniego jedynaka Witolda, a Magdalena Dolańska całą trójkę: Wawrzyńca, Tytusa i Lidię, która już dwa razy zdążyła się rozwieść. Oprócz wymienionych znajdowali się tutaj: Ludwik Borzęcki z żoną oraz kuzynka gospodarza, Julia Dosiewicz z mężem.

– Dzięki Bogu, jest nas przy stole dwanaście osób.

To się zgadzało, ale czemu „droga siostrunia” chce za to Bogu dziękować, tego Jan Borzęcki zrozumieć nie mógł.

– A gdyby było na przykład trzynaście, to co? – spytał.

– Boże uchowaj! Trzynaście osób przy stole to nieszczęście!

– Czy są jeszcze na świecie ludzie tak ograniczeni, by wierzyć w podobny zabobon?

To retoryczne pytanie było drobnostką w porównaniu z innymi impertynencjami, jakich się tu goście dzisiaj nasłuchali. Stary profesor-wynalazca od rana wysiłał się wprost, by kogoś z zaproszonych wytrącić z równowagi ducha. Jak dotychczas był to daremny trud. „Może jego wybór padnie na mnie?” – myślał każdy, a perspektywa odziedziczenia tak olbrzymiego spadku pozwalała strawić gładko wszelkie przykrości. Robiąc dobrą minę do złej gry, uśmiechali się grzecznie, słodko, przymilnie, choć Jan Borzęcki dokuczał im bez miłosierdzia...

Za ścianą znów rozległy się szelesty wywołujące mimo woli dreszcz.

– Co to może być?!

– Już wiem! Rozkołysane gałęzie drzew ocierają się o mury budynku. – Marski umiał sobie wszystko wytłumaczyć realnie.

Aż nagle zaszło coś, co nawet jego wprowadziło w zdumienie graniczące z przestraszeniem... Wicher zadał potężniej, jedna z szyb rozprysnęła się na kawałki, a przez ten wyłom w oknie wjechała do pokoju niemal po kolano ludzka noga!

Staremu Borzęckiemu wypadła z ust fajka, drobna niepozorna Zofia Szczepanik, pomoc domowa, wypuściła z rąk tacę ze szklankami, ale dźwięk tłukącego się szkła zagłuszyły przeraźliwe krzyki kobiet.

Wtem huk! Podmuchał wiatr zatrzasnął z silnym łoskotem drzwi wiodące z jadalni na korytarz.

Noga obciśnięta w czarne wąskie spodnie i obuta w gruby trzewik sportowy wierzgnęła rozpaczliwie i wyjechała tą samą drogą, jaką tu wtargnęła. Całe to makabryczne widowisko trwało zaledwie dwie sekundy, czas aż nadto długi, by każdy z obecnych mógł sobie przypomnieć, że jadalnia znajduje się na piętrze! Że jej okna dzieli od poziomu podwórka przeszło cztery metry, gdyż parter jest bardzo wysoki.

Ponure widowisko było skończone, ale w oknie pozostała duża, gwiazdzista dziura i wiatr zaczął szaleć w jadalni. W mgnieniu oka zwichrzył paniom fryzury, po czym zabrał się do serwet, obrusów, firanek.

– Ja tu dłużej nie wytrzymam!

Za przykładem Lidii Popielskiej kobiety rzuciły się do ucieczki. Panowie załatali jako tako wyłom w oknie i pośpieszyli do pań, które schroniły się do hallu. Tam było stosunkowo najzacziszej, a zrobiło się nawet wcale przytulnie, kiedy zapalono w kominku zainstalowanym tu jeszcze przed wojną, na życzenie zdziwaczałego profesora, przejawiającego skłonności hipochondryczne. Pomimo to nastrój wśród obecnych nie uległ zmianie: nikt nie zdołał otrząsnąć się z wrażenia, jakie wywarło niesamowite ukazanie się nogi ludzkiej...

– Może – przemówił wreszcie Marski – może ulegliśmy złudzeniu.

– Sam pan chyba w to nie wierzy.

– A co wybiło szybę?

– Prawdopodobnie gałąź.

– Gałąź w wąskich spodniach i trzewiku, co?! – Jan spojrzał na swego pomocnika z politowaniem. – Różne rzeczy pan już zdołał we mnie wmówić, panie Marski, ale tym razem nie uda się sztuka... To była noga!

– Czyja?!

– Może złodzieja – odezwała się Irena Borzęcka po chwili ogólnego milczenia. – Złodzieja, który po linie chciał się dostać do willi, nie mogąc wyłamać dębowych okiennic na parterze.

– I żeby sobie utrudnić to zadanie, wybił szybę w pokoju, w którym siedzieli wszyscy domownicy, co?

Ironiczne spojrzenie starego Borzęckiego nie zmieszało jej wcale.

– Szybę wybił niechcący – odparła spokojnie. – Prawdopodobnie wichur rzucił go na ścianę budynku w chwili, gdy mijał to okno.

Tej hipotezie nie można było nic zarzucić, lecz gospodarz najwidoczniej dążył do tego, by swoim niezamierzonym krewnym zatruć każdą chwilę pobytu w willi.

– Ludwiku, pogratulować ci takiej żony – zawołał; zrobił małą pauzę, pozwalając bratankowi nasycić się tą pochwałą, pierwszą pochwałą, jaką tu dziś usłyszano, a potem dodał: – poznać od razu że jej jedynym zajęciem jest lektura kryminalnych romansów.

Czworo przedstawicieli rodziny Dolańskich wybuchnęło śmiechem jak na komendę, natomiast Ludwikowi wydłużyła się twarz. Wreszcie odpowiedział:

– Kochany stryjasek się myli. Irka nigdy nie traci czasu na czytanie książek. Wraz ze mną pracuje ciężko od świtu do nocy.

– Któż by śmiał w to wątpić! – Pochwycił starannie wypielęgnowane dłonie młodej mężatki, odwrócił je w stronę kominka tak, że refleks ognia zamigotał na różowym lakierze jej kształtnych paznokci. – Patrzcie! Tak wyglądają ręczki, które od świtu do nocy ciężko pracują! – Parsknął szyderczym śmiechem, potem zmarszczył brwi i oświadczył tonem, jakby piętnował najcięższą zbrodnię: – To są ręce próżniaka, darmożjada, pasożyta!

W hallu nastąpiła grobowa cisza. Ludwik Borzęcki zbladł, lecz nie ujął się za żonę; za wszelką cenę chciał uniknąć zwady z bogatym stryjem, który sporo grosza naciulał dzięki swym wynalazkom z dziedziny farmaceutyki.

– No? Mam rację, czy nie?! – Jan patrzył nań wyzywająco.

– Stryjaszek zawsze ma rację – wykrztusił bratanek.

Równocześnie Irena syknęła z bólu, w jej oczach zakręciły się łzy; złośliwy starzec ścisnął jej dłonie z całej siły.

Równocześnie Witold Przybysz skoczył na równe nogi.

– Dość tych szykan! – krzyknął. – Więc po to zaprosiłeś nas tutaj, zły, zdziwaczały starcze, żeby się znęcać nad nami?!... Puść ją albo...

– Witoldzie! – Elżbieta posłała synowi błagalne spojrzenie, potem zwróciła się do brata.

– Janku, wybacz mu, błagam. On cię zaraz przeprosi.

– Ani mi się śniło! Niech on nas przeprosi za te grubiaństwa i...

– Wit, zamilcz!

– Młodzieńcze – przemówił Jan Borzęcki ochłonawszy ze zdziwienia i puściwszy dłonie Ireny – czy zdajesz sobie sprawę z tego, że mogę ciebie i twoją matkę wydziedziczyć?

– Gwiżdżę na to! Nie troszczyłeś się o nas nigdy i daliśmy sobie radę sami. Tym bardziej nie zależy mi na twoich pieniądzach dzisiaj, kiedy własną pracą zdobyłem sobie jakie takie stanowisko.

– Jasieczku, on się upił twoim świetnym winem. Ale ty chyba...

– Wstydz się, matko! Nie dziwiłbym się któremuś z tych płazów – wzdurliwym ruchem wskazał kolekcję ciotek i kuzynów – lecz ciebie nie podejrzewałem o takie służalstwo.

– On nas wszystkich obraził! – Magdalena Dolańska spojrzała znacząco na swoich synów. – Czy nikt tu nie ujmie się za kobietami?! Za czcigodnym starcem, którego znieważają w jego własnym domu?!

Wawrzyniec Dolański powstał, poprawił okulary, chrząknął wojowniczo i napuszony ruszył w stronę Witolda, a za nim ociężały Tytus, który nawet nie wiedział, o co chodzi, ale zawsze solidaryzował się z bratem.

Lecz do konfliktu między kuzynami nie doszło. Energiczne spojrzenie gospodarza osadziło na miejscu braterską parę.

– Siadać! Nie potrzeba mi żadnych obrońców!

– Jasieczku najdroższy, ja chciałam tylko...

– Milczeć! – Jan Borzęcki podszedł do nachmurzonego Witolda. – No?!

– Czego pan sobie życzy?

– O, „pan”!... Życzę sobie, żebyś mnie przeprosił.

– Tego się pan ode mnie nie doczeka!

– Wit! – Elżbieta załamała ręce. – Przeproś wujka, matka cię błaga!

– Nie. Ja mam swoją ambicję!

– Więc nie?! – Jan podniósł głowę. – Nie przeprosisz?!

– Nie, ty śmieszny kacyku! – Rzekłszy to Witold Przybysz odwrócił się na pięcie, a wychodząc z hallu zatrzaskał drzwi z łoskotem...

– No, moi drodzy – oświadczył Jan Borzęcki ze złowrogim uśmiechem – po tym, co tutaj zaszło, mam was serdecznie dosyć. Nie wypędzam was na noc, ale jutro rano zechcecie łaskawie mój dom opuścić... A różne błogie nadzieje na spadek po mnie możecie sobie wybić z głowy na zawsze i... żegnam.

Brakowało kilku sekund do dziesiątej, kiedy stary profesor wypowiedział te słowa do osłupiałych krewniaków. O jedenastej burza przesiliła się, a na krótko przed północą wypogodziło się zupełnie i uciszyło. Stary zegar gdański zaczął właśnie wybijać dwunastą, gdy w gabinecie gospodarza padł strzał.

ROZDZIAŁ II

- Nieszczęście!
- Co? Co się stało?
- Jan się zastrzelił!

Jan Borzęcki leżał na wznak u stóp wmurowanej w ścianę olbrzymiej szafy z książkami. Był jeszcze ciepły, ale jego serce już bić przestało na zawsze, przeszyte na wylot celnym strzałem. W zaciśniętej dłoni trzymał rewolwer.

– „Mauser”, kaliber 6,35. Hm, to przecież jego rewolwer! Miał zezwolenie. Tak, tak, to jego...

– No, chyba! Czy to pana dziwi?
– Bardzo! – odparł Marski, obrzucając przenikliwym wzrokiem twarz krewnych zmarłego. – To dowodzi, że zabójca miał...

- Zabójca?!
- Co pan wygaduje!
- Jaki zabójca?!
- Pan sądzi... śmieszne doprawdy!... że to nie było samobójstwo?
- Oczywiście, że nie! Słyszałem wyraźnie okrzyk: „na pomoc!”
- To niczego nie dowodzi.

– To by nie dowodziło niczego, gdyby okrzyk zabrzmiał po wystrzale. Ale ja go słyszałem przed detonacją... A to tutaj – wskazał poprzewracane krzesła i foteliki – czyż nie wskazuje na to, że profesor stoczył z kimś zaciętą walkę przed zgonem?!

– O Boże! On ma podbite oko! – zauważyła Elżbieta Przybysz, klęcząc przy zwłokach brata. – Biedny, biedny Jasieczek...

Raz po raz robił ktoś nowe spostrzeżenie, a wszystkie potwierdzały hipotezę Marskiego, że właściciel willi w Komorowie nie popełnił samobójstwa, lecz został zabity przez kogoś.

- Ale przez kogo?! Kto mógł popełnić tak ohydny zbrodnię?!
- Nie przypuszczam, aby ktoś z zewnątrz – odparł Marski.
- Zatem – Irena wzdrygnęła się – zatem zabójca jest wśród nas!

Milczenie, jakie zaległo po tych słowach, i wzajemne obrzucanie się podejrzliwymi spojrzeniami uczyniły atmosferę nie do zniesienia.

- Wyjdźmy stąd – rzekła Lidia błagalnie.

Wyszli do hallu, a Marski drzwi od gabinetu zamknął na klucz.

– Przed przybyciem milicji nie powinien tam już absolutnie nikt wchodzić – rzekł namyślając się, komu ma wręczyć klucz. Nie umiejąc rozstrzygnąć tej kwestii, wypowiedział swe wątpliwości głośno.

Ludwik Borzęcki pierwszy wyciągnął rękę po klucz.

- O, przepraszam – zaprotestowała Magdalena Dolańska – jako siostra...
- Przyrodnia siostra, przyrodnia!
- To nie ma nic do rzeczy.

– Owszem, ma. Według ustawy najbliższym krewnym zmarłego jestem ja. I ja teraz obejmuję rządy!

To kategoryczne oświadczenie Ludwika wywołało żywe sprzeciwy większości obecnych i tuż przed drzwiami gabinetu zmarłego rozpoczęła się pierwsza kłótnia rodzinna. Stało wreszcie na tym, że klucz pozostanie w drzwiach, a problem, kto ma „objąć rządy” rozstrzygnie notariusz.

- Zawiadomię go o śmierci pana Borzęckiego zaraz jutro...
- Dzisiaj, chciał pan powiedzieć: teraz jest pięć minut po pierwszej.

– Tak, dzisiaj. A teraz pójdę po milicję, bo nie mamy tu telefonu. Państwu zaś radzę udać się na krótką drzemkę; czeka was przesłuchanie i... i w ogóle dużo tarapatów. – Ostatnie słowa wyrzekł Marski już w drzwiach.

Nikt nie usłuchał tej rady.

– Oka bym nie zmrużyła.

– Ani ja... Ani ja... Po tym, co zaszło, zasnąć?!

Nawet Ludwik przyznał słusność ciotce Magdalenie. W rzeczywistości zatrzymała ich wszystkich w hallu obawa, by ktoś nie wśliznął się do gabinetu Jana Borzęckiego i nie ściągnął tam czegoś; nastrój wzajemnej nieufności potęgował się z każdą chwilą, a klucz tkwiący w zamku owych drzwi nabrał jakichś magnetycznych własności dla oczu całej rodziny zmarłego. Jednocześnie myśli wszystkich tych osób pochłaniało dręczące pytanie, czy Jan zostawił testament i jaka jest jego treść. Że jednak nie wypadało jeszcze mówić o tym, rozmawiano na temat samej zbrodni. Każdy uważał za swój obowiązek dowiedzieć, że nie mógłby być jej sprawcą, gdyż w krytycznym momencie przebywał gdzie indziej i ma na to świadków.

– Lidia – zaczęła Magdalena Dolańska – i ja nie wychodziłyśmy ani na chwilę z naszego pokoju.

– Ani ja – wtrącił Wawrzyniec – niech Tytus poświadczy.

– Ja spałem, ale daję głowę, że mój brat jest niewinny.

Po Tytusie usprawiedliwiali się Dosiewiczowie i Elżbieta Przybysz, która także gotowa była przysiąc, iż jej syn ze swego pokoju nie wychodził.

– Ja również mogę mieć takie alibi, dzięki Irenie – rzekł Ludwik Borzęcki z niemiłym uśmiechem. – Należy się jednak liczyć z tym, że milicja uzna nasze familijne „zaświadczenia niewinności” za niewystarczające. I słusznie! Bo zabójcą stryja mógł być tylko ktoś z naszego grona!

– Ale kto, na Boga! Kto?!

– Może sami do tego dojdziemy... Czy nie macie nic przeciwko temu, abym się zabawił w sędziego śledczego?

– Oczywiście, że nie.

– Zatem rozpoczynam „urzędowanie”... Nas obudził Wawrzyniec; a ciebie kto zbudził?

– Wuj Waław.

– A ciebie, Waławie?

– On. – Waław Dosiewicz wskazał na Witolda Przybysza.

– A ciebie, kuzynie?

– Nikt. Sam usłyszałem strzał, gdy byłem w jadalni.

– O! W jadalni! Więc jednak wychodziłeś z pokoju!

– Tak. Zachciało mi się pić. W pokoju moim nie było ani szklanki wody, wobec czego udałem się do jadalni. Tam znalazłem karafkę. Nagle posłyszałem huk. Nie przypuszczałem, że to strzał. „Drzwi gdzieś trzasnęły” – sądziłem i zaspokoiwszy pragnienie, ruszyłem w powrotną drogę... W hallu wpadł na mnie Marski z takim impetem, że omal nie runęliśmy obaj na podłogę.

– Tak pośpiesznie uciekał?

– Tego nie twierdzę, że uciekał. Powiedział, że biegnie po nas, bo wuj się zastrzelił.

– Hm, zatem Marski pierwszy z nas wszystkich wiedział, że stryj Jan nie żyje.

– I pierwszy później wpadł na to – wtrąciła Magdalena – iż nie miało tu miejsca samobójstwo, ale zbrodnia!

– A jak on do ciebie powiedział? Że stryja zabito, czy że się...

– Że się zastrzelił – odparł Witold stanowczo. – Na pewno!

– Hm, to ciekawe, to bardzo ciekawe...

Umilkli na dłuższą chwilę. Siedzieli prawie w zupełnych ciemnościach, gdyż kominek dogasał.

– Och, jak tu ciemno.

– I pomyśleć – Witold zawtórował matce – że wszystkie pokoje willi wuja mają oświetlenie elektryczne, a hall nie.

– To właśnie ma swój urok, kuzynku – zaszemrał głos Lidii.

– Jaki tam urok.

– Taki... – uczył na policzku gorący pocałunek – taki, że łatwiej o miły nastrój, nie uważasz? – Znow go musnęła ustami.

– Hm, zapewne – przyznał – lecz dzisiejsza noc wcale się do tego nie nadaje. – Pomimo tych zastrzeżeń nie wypuścił z rąk miękkiej kobiecej dłoni, która się doń wysunęła w ciemnościach.

Wawrzyniec i Tytus, siedzący obok Ireny, przypuścili do niej podobny atak z dwóch stron równocześnie, ale bez powodzenia.

Natomiast starsi powrócili do dawnego tematu rozmowy.

– Ludwiku, odpowiedz mi szczerze – prosiła Julia – czy ty posądzasz o to zabójstwo Marskiego?

– A ty?

– Ja?... Ja mogę tylko tyle powiedzieć, że ten asystent biednego Janka nie podobał mi się od pierwszego wejrzenia.

– To samo chciałam powiedzieć – wtrąciła żywo Magdalena. – I jestem pewna, że on zabił naszego kochanego... – umilkła, gdyż w tej chwili otworzyły się drzwi wiodące z hallu do przedsiionka i w progu stanął jakiś człowiek z latarnią w dłoni.

– Kto to? – Lidia przytuliła się do Witolda.

– To przecież mąż pani Zofii, Stefan Szczepanik, dzierżawca ogrodu wuja.

– O co chodzi?

Przybyły dojrzał rodzinę profesora skupioną w drugim końcu rozległego hallu i co prędzej zerwał czapkę z głowy.

– Pan Marski prosi, aby państwo zaraz przyszli do mojego mieszkania – oznajmił.

– A dlaczego to mamy tam przyjść „zaraz”?

– Bo pan Marski schwytał tego drania, co zabił profesora Borzęckiego.

Zelektryzowani tą wieścią pobiegli na wyścigi aż w drzwiach uczynił się zator. Ten przymusowy przystanek – wypadek przecież ogromnie błahy – miał poważne następstwa. Oto jedna z osób tu obecnych, korzystając z ciemności, przyczaiła się za drzwiami i pomknęła do pokoju, w którym leżał zabity, skoro tylko przebrzmiały kroki innych, śpieszących do mieszkania ogrodnika, by zobaczyć domniemanego sprawcę zbrodni...

ROZDZIAŁ III

Był to szczupły, wysoki młodzieniec, wyglądający na lat dwadzieścia lub mało co więcej. Miał na sobie skórzaną kurtkę, wąskie czarne spodnie z welwetu i grube sportowe trzewiki, a jego czapka z okularami automobilowymi leżała obok łóżka na krześle.

Spoczywał bowiem na łóżku ogrodnika Szczepanika, do którego izby odniesiono go kilka minut temu. Gdy rodzina Jana Borzęckiego przybyła do tego pomieszczenia, posiadającego osobne wejście od strony ogrodu, Marski w krótkich słowach opowiedział, co zaszło od chwili, kiedy wyszedł z hallu.

– Zdążyłam właśnie do pana Szczepanika, by powiadomić go o wypadku i ewentualnie razem z nim udać się na tutejszy posterunek MO. Idąc ścieżką tuż przy murze willi, postyszałam jęk. Zaczęłam nasłuchiwać i rozglądać się. Jęk dochodził zza bramy.

Otworzyłem ją i spostrzegłem tego człowieka – wskazał nieznajomego. – Na czworakach czołgał się po ziemi. Zawołałem pana Szczepanika i z jego pomocą przeniosłem intruza tutaj. Potem poleciłem poprosić państwa, abyście byli obecni przy przesłuchaniu tego człowieka.

– O, przesłuchanie! A cóż to, czy ja co ukradłem?!

– Nie mam prawa przeszukać pańskich kieszeni, ale...

– No, myślę!

– ...ale uczyni to niebawem milicja, po którą pan Szczepanik właśnie idzie. – Jakby na potwierdzenie tych słów, Szczepanik sięgnął po płaszcz wiszący na drzwiach. – Wtedy przekonamy się naocznie – ciągnął dalej Marski – czy pan jest również i złodziejem. Ja sądzę, że tak, bo jakże inaczej wytłumaczyć pobudki pańskiej ohydnej zbrodni!

Nieznajomy wybałuszył oczy, zamrugał, potem przeniósł wzrok na osobę stojącą najbliżej, czyli na Lidię Popielską.

– Piękna damo – spytał – czy ten jegomość jest upośledzony na umyśle, czy tylko pijany jak bela?

– Wypraszam sobie! – huknął Marski.

– Wybacz pan, ale moje pytanie było tak uzasadn...

– Pytania będę zadawał ja, a nie pan, młody człowieku.

– Ha, więc pytaj, stary człowieku, lecz później ja ci powiem coś do słuchu!... Zatem?

– Kim pan jest i w jakim celu przybył pan tutaj o tej porze?!

Młodzieniec wsunął dłoń do kieszeni kurtki, wyjął stamtąd i rozwinął pomiętą stronicę jakiegoś dziennika, na której wydrukowane było wersalikami ogłoszenie tej treści:

PRAGNĄC ZAŁATWIĆ OSTATECZNIE SWOJE SPRAWY RODZINNE PROSZĘ
WSZYSTKICH MOICH KREWNYCH, ABY MI WYBACZYLI DAWNE DZIWACTWA I
W DNIU MOICH URODZIN A ZARAZEM IMIENIN, CZYLI SZÓSTEGO MAJA,
ZECHCIELI PRZYBYĆ DO MNIE.

JAN BORZĘCKI

Obecni tylko rzucili okiem na gazetę. Nie potrzebowali czytać tego ogłoszenia, znali je na pamięć, przecież właśnie ono ściągnęło ich wszystkich do willi Jana Borzęckiego, który tak tragicznie zakończył życie w dniu swoich imienin, a zarazem siedemdziesiątej rocznicy urodzin.

– Przeczytawszy to – zaczął nieznajomy – wybaczyłem dzisiejszemu solenizantowi owe „dawne dziwactwa”, bliżej mi zresztą nieznane, wybaczyłem mu również to najświeższe dziwactwo, jakim było zamieszczenie tak kosztownych ogłoszeń w tyłu gazetach, natomiast nie mogę mu wybaczyć tego, że nie podał swojego adresu...

– Gadanie! Każde dziecko w okolicy wie, że Jan Borzęcki...

– Tak, w tej okolicy. Lecz w mojej, którą dzieli stąd przestrzeń z górą trzystu kilometrów, Jan Borzęcki jest figurą równie nikomu nie znaną, jak na przykład Tilden wśród Pigmejów z Kongo... Wyszukanie jego adresu kosztowało mnie więcej zachodu niż wsunięcie dwóch bramek Czechosłowakom, o którym to wyczynie moim musieliście w zimie czytać. Czego się jednak nie robi, by wziąć udział w ostatecznym załatwieniu spraw rodzinnych...

– Przepraszam – wtrąciła Magdalena Dolańska, mocno zaniepokojona ostatnimi słowami młodzieńca – więc pan także pretenduje do spadku?

– Ach, o spadek chodzi. Ano rozumie się, że pretenduję!

– Na jakiej podstawie?

– Na tej, że nazywam się Borzęcki... Państwo pozwolą, że się formalnie przedstawię: Michał Borzęcki jestem, centr ataku klubu sportow...

– To pan?! Jakże się cieszę! – Witold Przybysz przecisnął się do łóżka i jął serdecznie potrzasać prawicą słynnego sportowca. – Tyle razy oglądałem pańską podobiznę w gazetach i nie poznałem teraz, no!

– Bo ja się zawsze dla kawału wykrzywiam, jak mnie fotografują.

– Przepraszam – wtrąciła znów Magdalena Dolańska, a wzrok jej stał się zamrażający, niczym maszyna do lodów. – A właściwie kto pana rodzi?

– Aktualnie nikt. Łaskawa pani chce chyba spytać, kto mnie urodził lat temu dwadzieścia dwa – odparł Michał wesoło. – Ano, moja mamusia.

– Nie pora teraz na żarty! Ja chcę ustalić stopień pokrewieństwa pomiędzy moim biednym bratem Janem a panem.

– Myślałem, że tu się dowiem, jacy my krewni... Wszystko, co mogę rzec w tej materii to to, że on wabi się Borzęcki, a ja również.

– No tak, proszę pana, ale to jest dużo za mało, aby zgłaszać pretensje do spadku po moim świętej pamięci bracie!

– Jak to, świętej pamięci? Czyżby szanowny burżuj, nie czekając mego przybycia, pośpiesznie odwalił kitę?

– Młody człowieku! – Marski zmarszczył brwi. – Pańskie wulgarne wyrażenia mogą nie razić na boisku sportowym, ale tu rażą bardzo!... A wręcz oburzające jest, że pan po tym, co pan uczynił, udaje jeszcze niewiniątko!

– Kto udaje, ja?!... Wiem, com zrobił i bardzo tego żałuję, ale...

– Słyszeliście?! Sprawca się przyznaje!!

– Tak, ale zaznaczam, że nie byłoby się to wydarzyło, gdyby tam wisiała jaka... choćby latarka.

– Pan chce przez to powiedzieć, że dokonał zbrodni po ciemku?

– Zbrodni?! Byczy typ, słowo daję! Państwo słyszeli? Ten miły piernik nazywa zbrodnią połamanie kilkunastu krzewów róż. Cha, cha, cha, cha...

– Tu zachodzi jakieś nieporozumienie – przemówił Witold Przybysz, kiedy przebrzmiał hałaśliwy śmiech Michała Borzęckiego.

Istotnie zaszło nieporozumienie, i to grubszego kalibru; obecni mieli na myśli zbrodnię, której ofiarą padł Jan Borzęcki, a sportowiec myślał o różach, które zgilotynował i stratował swoim motocyklem, zjechawszy w ciemnościach z drogi na olbrzymi klomb kwiatów przed willą.

– Co tu się dziwić – ciągnął dalej Michał. – Zmykając przed burzą gnałem pięćdziesiąt na godzinę, i to na oślep, bo światło mi się popsuło... Nagle hops, zaczynam podskakiwać i coś mnie drapie po buzi. Róże!

Zahamowałem, lecz maszyna już się zaryła w jakiś gęsty żywopłot tak, że ani rusz nie mogłem jej wyciągnąć. Podeszedłem więc do bramy na własnych pedałach. Szukam dzwonka, nie ma... Nie ma, jak babcię kocham!

– To się zgadza – wtrącił Witold z uśmiechem – dzwonki, telefon, radio to wynalazki nieznanne w tej willi.

– Żeby to był wiedział!

– I co potem? – przynagłał go Marski.

– Potem zaczynam prac w bramę obcasami, aż dudni. I nic. Nikt nie przychodzi. A tu deszcz leje jak jasna choo... okropnie. Myślę sobie – wejdę oknem. Ba, kiedy cały parter ma dębowe okiennice. Lecz w kilku oknach na piętrze widzę światło. Biegnę w tę stronę, wołam, krzyczę, ryczę i znowu guzik. Wicher dmie wściekle, głośzy moje słowa... Wtem wpada mi w oko... nie bierzcie tego dosłownie... wpada mi w oko drzewo, rosnące tuż obok ściany budynku. Drapię się na nie bez namysłu. Jestem już na wysokości piętra, nagle, jak wiatr nie dmuchnie! Czuję, że drzewo się gnje, że wyrznie mną o mur. Wysuwam więc giczały, aby z nich zrobić sobie resory i brzdęk, rozbijam jakieś szyby. Potem drzewo czyni wygibasa w

drugą stronę, wyciąga mnie z okna i wyrzuca jak z procy. Przy lądowaniu zahaczam główką o coś twardego, tracę przytomność, ale prysznic ulewy cuci mnie w końcu. Nie mogąc powstać, czołgam się po ziemi i po dłuższym takim spacerze spotykam tego miłosiernego samarytanina – wskazał Marskiego. – „Oto są grzechy mego żywota”. Jestem gotów okazać skrucę, jeśli kolacja będzie first class...

Słuchacze już od chwili wymieniali między sobą wymowne spojrzenia. Zeznania sportowca pokrywały się w zupełności z tym, co oni wszyscy zaobserwowali, gdy siedzieli w jadalni.

– Czy nie mówiłam wtedy, że coś stuka? Że ktoś woła pod oknami?

– Spójrzcie – Magdalena zawtórowała siostrze – spójrzcie no tutaj – wskazała czarne wąskie spodnie i sportowe trzewiki Michała – przecież to jest ta noga, która nas tak przeraziła!

Marski zadał „młodemu człowiekowi” jeszcze całą litanię pytań, przejrzał jego dokumenty osobiste i w końcu także wypadł z roli prokuratora. Odpowiedzi Michała Borzęckiego zbiły go z tropu doszczętnie. Lecz jeżeli on był naprawdę niewinny, to tragiczna śmierć właściciela willi pozostała nadal nierozwiązaną zagadką.

– Och, niechże milicja już raz przybędzie i wyjaśni tę straszną tajemnicę – westchnął ktoś wypowiadając głośno to, czego pragnęli gorąco wszyscy... Wszyscy, z wyjątkiem dwóch osób! Jedna z nich przed chwilą wśliznęła się tutaj niespostrzeżenie, gdyż całą uwagę obecnych przykuwał do siebie Michał Borzęcki...

W małej izbie zrobiło się duszno. Tytus Dolański otworzył więc drzwi na oścież i wyszedł przed dom. Nagle krzyknął:

– Tam!... Patrzcie, tam! – bełkotał wskazując ręką przed siebie.

Wybiegli z mieszkania, spojrzeli i zastygli w bezruchu. W oknie narożnego pokoju willi na pierwszym piętrze paliło się światło.

– Kto tam wszedł? – warknął Marski.

Odwrocił się, zaczął wzrokiem liczyć obecnych. Przebywały tu w tej chwili następujące osoby: Ludwik Borzęcki, jego żona Irena, Elżbieta Przybysz, jej syn Witold, Magdalena Dolańska, jej dzieci: Lidia, Wawrzyniec i Tytus, Wacław Dosiewicz, jego żona Julia, Kazimierz Marski, Michał Borzęcki, żona ogrodnika Zofia oraz sędziwy Stanisław Pajda, dawny służący profesora zajmujący mały pokój obok mieszkania Szczepaników. Ogrodnik Stefan Szczepanik kilka minut temu wyszedł po milicję.

– Można oszaleć! – zirytował się Marski przeliczywszy raz jeszcze zebrane tu osoby i z tym samym wynikiem. – Jesteśmy tutaj wszyscy, a tam, w pokoju nieboszczyka... w pokoju, który własnoręcznie zamknąłem na klucz... pali się światło!!

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI